

16. Miłość, wolne drogi i małżeństwo

16. Miłość, wolne drogi i małżeństwo

Od pani Susannah Spurgeon

Kiedy zostałam postawiona przed tym świętym i delikatnym zadaniem przeglądu wydarzeń lat 1854 – 1855, by opisać je w tym rozdziale, były tylko dwa możliwe sposoby, aby to zrobić. Mogłabym spróbować przekazać słodką prawdę o naszej historii miłosnej - albo mogłabym próbować ukryć całą historię, ale mogę też spróbować wylać całą moją duszę. Mogłabym zmusić moje pióro do przedstawienia rzeczywistej przeszłości, jaka stopniowo pojawiała się przed moimi oczami. Jednak wybrałam tę drugą drogę, bo po prostu czuję się do tego zmuszona. Moja ręka posłuszna temu, co dyktuje moje serce, a również temu, jak prowadzi Duch.

Wiele lat temu przeczytałam bardzo poruszającą historię. Nie mogę nie myśleć o tej historii teraz, kiedy byłam zmuszona, przez tytuł tego rozdziału, do przeczytania z minionych lat, listów od mojego ukochanego, które były dawno już zamknięte, i przeżyć szczęśliwe dni, kiedy byliśmy dla siebie wszystkim. Nie pamiętam już szczegółów historii, ale pamiętam główne wątki.

Pewna para małżeńska miała właśnie przekroczyć jeden z wielkich lodowców w wysokich górach, kiedy zdarzył się straszny wypadek. Mężczyzna wpadł do jednej z ogromnych szczelin, jakich pełno na wszystkich lodowcach - lina pękła, a szczelina była tak głęboka, że nie można było udzielić pomocy. Możemy sobie tylko wyobrazić co przeżyła ta kobieta.

Czterdzieści lat później ona i przewodnik górski, który im wtedy towarzyszył, stali przy hotelu, u podnóża lodowca. Czekali, aż wieczny lód wyda swoich zmarłych. Zgodnie bowiem z dobrze znanym prawem wzrostu lodowca, należało się spodziewać, że ciało męża zostałoby zmyte przez górski strumień wypływający z lodowca. Cierpliwie i wytrwale obserwowali i czekali, aż w końcu ich nadzieje się spełniły. Nadszedł dzień, w którym ciało zostało uwolnione z lodowego więzienia, a kobieta ponownie ujrziała postać tego, który był od niej oddzielony przez tak długi czas! Ale to, co było naprawdę poruszające w tej historii, to fakt, że w tym czasie była już starą kobietą, podczas gdy ciało jej męża, dopiero co uwolnione, było ciałem stosunkowo młodego i zdrowego mężczyzny. Tak wiernie kryształowy grobowiec zachował klejnot. Czterdzieści lat nie pozostawiło na jego twarzy żadnych zmarszczek, czas nie mógł go dosięgnąć w tym grobie, a więc kobieta, która się zestarzała, zobaczyła przez krótką chwilę mężczyznę swojej młodości, który był

jak za dni, które minęły bezpowrotnie! Jakoś tak samo czułam się podczas opracowywania tego rozdziału.

Po raz pierwszy zobaczyłam mojego przyszłego męża na pierwszym kazaniu, które wygłosił na New Park Street. Od dzieciństwa miałam wielki przywilej przebywania z dobrymi znajomymi z „Ojcem Olney” i

jego żoną, i często byłam gościem w ich domu, zarówno w Borough jak i jak również w West Croydon. To właśnie dzięki tej przyjaźni znalazłam się w ten niedzielny wieczór, 18 grudnia 1853 roku, w małej kaplicy siedząc na kościelnej ławce.

Kiedy rodzina Olneyów wróciła z porannego nabożeństwa, bardzo różne uczucia wypełniły ich serca. Nigdy wcześniej nie słyszeli takiego kazania. Byli zdumieni i jednocześnie zaskoczeni; otrzymali królewski pokarm. Jednak bardzo martwili się o młodego kaznodzieję, który z powodu wielu pustych ławek, wydawał się być bardzo zniechęcony i najwyraźniej zwróciłby się do swoich drogich ludzi w jego zatłoczonej kaplicy w hrabstwie Cambridge. „Co możemy zrobić?” - powiedział dobry diakon Olney - "musimy zatroszczyć się o większe zgromadzenie dla niego dziś wieczorem, bo inaczej go stracimy!" Zatem w to niedzielne popołudnie, odwiedziliśmy wielu naszych przyjaciół i znajomych, i różnymi sposobami zachęcaliśmy ich obiecując, że jeśli przyjdą dzisiaj wieczorem na New Park Street, aby posłuchać wspaniałego młodego kaznodzieję to na pewno nie pożałują.

„Również mała Zuzia też musi przyjść” - powiedział stary, dobry Olney.

Nie sądzę, żeby "małej Zuzi" szczególnie na tym zależało, kiedy przyszła do nas.

Ale aby zrobić przysługę moim drogim przyjaciołom, poszłam z nimi. Tak się stało, że byłam też obecna w Londynie na drugim kazaniu mojego drogiego męża. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że moje oczy zobaczą tego, który miał się stać moją wielką miłością! Jeśli mam powiedzieć prawdę, nie byłam w żaden sposób zafascynowana darem mowy młodego kaznodziei, zwłaszcza jego wiejski sposób zachowania się i mówienia powodował u mnie więcej odrzucenia niż podziwu. Och, jaka ja byłam wtedy niemądra! Nie byłam duchowym człowiekiem, byłam ślepa, nie rozumiałam prawdziwej Ewangelii i jej potężnej mocy. To, co widziałam, źle ułożone włosy, czarny satynowy stojący kołnierz i niebieska chusteczka w białe kropki - wszystko to przykuło moją uwagę i w jakiś sposób, obawiam się, że to wzbudziło we mnie uczucie rozbawienia. Z całego kazania wyniosłam tylko jedno zdanie i to tylko dlatego, że według mnie wydawało się dziwne. Moim zdaniem, było to dziwne, że kaznodzieja mówił o „żywych kamieniach”. O „żywych kamieniach w niebiańskiej świątyni, które są doskonale ze sobą spojone szkarłatnym spoiwem - Krwią Chrystusa”. Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy spotkałam go osobiście. Być może podszedł do mnie tego niedzielnego wieczoru jak do wielu innych. Ale kiedy w końcu było wiadomo, że przyjmie posadę pastora w zborze przy New Park Street, spotykałam go od czasu do czasu w domu naszych wspólnych znajomych, ja także czasami chodziłam słuchać jego kazań.

Do tej pory nigdy nie wyznałam publicznie mojej wiary, chociaż byłam pod posługą pastora S. B. Bergne'a. ze zboru w Poultry, przez około rok czasu zanim Spurgeon przybył do Londynu. Zrozumiałam, że potrzebuję Zbawiciela.

Jednak stałam się oziębła i niezainteresowana sprawami Bożymi. Przeszłam przez czasy ciemności, przygnębienia i wątplenia, bardzo starannie zamknęłam wszystkie doświadczenia religijne w moim wnętrzu. Moja dusza była chora i senna, kiedy weszłam pod służbę mojego przyszłego męża. Stopniowo uświadamiałam sobie swój upadek, aż w końcu, po wielkiej wewnętrznej walce, szukałam duchowej pomocy i przewodnictwa u Williama Olney (drugiego syna „Ojca Olneya”, mojego kuzyna), który był aktywny jako pracownik szkoły niedzielnej na New Park Street. Był prawdziwym panem „Wielkie serce”, pocieszycielem młodych pielgrzymów. Być może powiedział o mnie młodemu pastrowi - nie wiem. W każdym razie, byłam bardzo zaskoczona, gdy pewnego dnia otrzymałam od pana Spurgeona ilustrowany

egzemplarz „Pielgrzymki“ Johna Bunyana z napisem: "Dla panny Thompson, z życzeniem, aby wyruszyła w pielgrzymkę. Od C. H. Spurgeon, 20 kwietnia 1854 r."

Nie sędzę, aby mój późniejszy mąż miał w tym czasie na myśli coś innego, niż to, żeby pomóc duszy w jej walce na drodze do nieba. Byłam pod wrażeniem jego troski o mnie, bardzo mi się to spodobało, a książka ta stała się dla mnie niezwykle cenna i pomocna. Stopniowo opowiadałam mu, choć z dużą obawą i z drżeniem, jak stoję przed Bogiem, a on łagodnie prowadził mnie przez swoje kazania i rozmowy w mocy Ducha Świętego do krzyża Chrystusa, gdzie znalazłem pokój i przebaczenie, których tak bardzo szukała moja zmęczona dusza.

Przez jakiś czas sprawy te toczyły się spokojnie, nasza przyjaźń rosła coraz bardziej, a ja byłam szczęśliwa. Nie marzyłam o wspaniałej przyszłości, aż pewnego dnia, w którym otwarto Crystal Palace w Sydenham, to był 10 czerwca 1854 roku. Obecna tam była duża grupa przyjaciół, w tym i Spurgeon był obecny na otwarciu, a my zajęliśmy kilka miejsc na końcu sali, gdzie dziś stoi wielki zegar. Siedzieliśmy tam rozmawiając, śmiejąc się i ciesząc się sobą tak bardzo, jak tylko mogliśmy. Spurgeon dał mi książkę, którą przejrzał, a pokazując mi ją, wskazał na pewien fragment mówiąc: „Co sądzisz o poglądach poety w tych wierszach?”. Książka, o której mowa, to filozofia przysłów Martina Tuppera, która właśnie się ukazała. Przechodziła ona akurat pierwsze krytyki, które później przerodziły się w wyjąć burzę oczerniania i ciętego sarkazmu.

W tym momencie nie myślałam o autorze i okrzykach dezaprobaty ze strony jego przeciwników. Palec wskazujący kierował moje oczy do rozdziału o „Małżeństwie”, którego zdania wstępne były następujące:

„Szukaj dobrej żony od twego Boga, bo ona jest najlepszym darem Jego opatrności; ale nie pytaj zuchwale o to, co On nie obiecał: Ty nie znasz Jego dobrej woli. W związku z tym niech twoja modlitwa będzie podporządkowana Jego woli i bądź pewny, że on dobrze z tobą postąpi. Jeśli chcesz mieć żonę twojej młodości, to wiedz, że ona żyje już dzisiaj na ziemi; dlatego pamiętaj o niej i módl się o jej dobro”.

„Czy modlisz się za tego, który pewnego dnia będzie twoim mężem?” - usłyszałam cichy, łagodny głos wyszeptany do mojego ucha - tak cichy, że nikt inny nie mógł słyszeć tego szeptu. Nie pamiętam, aby to pytanie spotkało się z jakąś słyszalną odpowiedzią, ale moje szybko bijące serce, które wywołało lekki rumieniec na moich policzkach, odpowiedziało, a moje spuszczone oczy, które bały się, że światło wszystko ujawni, musiały mówić językiem zrozumiałym dla miłości.

Nie wydaje mi się, żebym wykazywała większe zainteresowanie procesją, która teraz przechodziła przez kryształowy pałac. Ani o książce, ani o jej teoriach nie było już nigdy więcej mowy. Kiedy ceremonia otwarcia dobiegła do końca i goście mogli opuścić swoje miejsca, ten sam łagodny głos wyszeptał jeszcze raz: „Czy zechciałbyś spacerować się ze mną po budynku?” Nie pamiętam, jak udało nam się oddalić od reszty grupy, ale długo szliśmy razem, nie tylko przez sam wspaniały budynek, ale także przez ogród, a nawet w dół do jeziora, obok których potężne kolosy wymarłych zwierząt zostały odtworzone. To właśnie podczas tego spaceru w ten pamiętny czerwcowy dzień, mocno wierzę, że sam Bóg związał nasze serca nierozzerwalnymi więzami prawdziwego uczucia i choć wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy, oddał nas sobie na zawsze.

Niedługo potem (2 sierpnia 1854 r.) słodka tajemnica między nami została publicznie podana do wiadomości przez zaręczyny. W dzienniku, który prowadziłam w tym czasie, jest taki radosny wpis: "2

sierpień 1854 - nie sposób spisać wszystkiego, co wydarzyło się dziś rano. Mogę tylko w milczeniu uwielbiać łaskę mego Boga i chwalić Go za wszystkie Jego dobrodziejstwa".

Po naszych zaręczynach szybko znaleźliśmy się coraz lepiej. Chodziłam na nabożeństwa i spotkania w kościele przy New Park Street tak często, jak tylko mogłam. 1 lutego 1855 r. zostałam ochrzczona na znak mojej skruchy i nawrócenia do Boga oraz mojej wiary w naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Młody kaznodzieja nie miał zbyt wiele czasu poza swoimi obowiązkami, ale zwykle przychodził do mnie w poniedziałek i przynosił swoje kazanie, które musiał opracować dla prasy. Nauczyłam się być cicho i wykonywać moje obowiązki, podczas gdy on wykonywał swoją niezwykle ważną pracę. To był dobry trening dla przyszłej żony pastora.

Oboje życzyliśmy sobie, abyśmy mogli odwiedzić Colchester, żebym mogłam zostać przedstawiona rodzicom Spurgeona jako ich przyszła synowa. Po pewnych trudnościach i rozczarowaniach, uzyskałam zgodę ojca i wyruszyliśmy w naszą pierwszą podróż. Wspaniałe nowe terytorium tego doświadczenia było orzeźwiające i żywe. Wspomnienia z tej wizyty są nieco mgliste, choć na wskroś szczęśliwe. Zostałam ciepło przywitana, uściskana i z miłością przyjęta do rodziny.

Pamiętam, że zostałam zabrana do wszystkich miejsc i interesujących obiektów w Colchester i okolicach, ale co tam widziałam, nie pamiętam. Radość z przebywania z moim ukochanym przez cały dzień, przez trzy lub cztery dni, wystarczyła, by uszczęśliwić moje serce na wskroś. W miarę upływu czasu mój przyszły mąż dostawał coraz więcej zleceń kaznodziejskich, a jednak zawsze znajdował czas, by mnie uszczęśliwiać swoimi pięknymi wizytami i listami, a w niedzielne poranki moi rodzice prawie zawsze pozwalali mi uczestniczyć w jego nabożeństwach. Jednak moja radość była często zabarwiona wielkim bólem.

Na wiosnę 1855 roku, głosił kazania w Exeter Hall do wielkich tłumów, a wysiłek fizyczny był ogromny. Czasami jego głos wydawał się prawie łamać i zawodzić, gdy wzywał grzeszników, by przyszli do Chrystusa, lub gdy chwalił Pana w Jego wszechmocy i sprawiedliwości. Pod pulpitem na stoliku przed nim zawsze stał słoik z ostrym octem winnym. Wiedziałam, co to znaczy, gdy musiał uciekać się do tego środka. Jakże bolało mnie serce z jego powodu! Jaka wielka samokontrola była konieczna, aby zachować spokój i opanowanie, by siedzieć spokojnie na swoim miejscu w małej bocznej galerii! Jak bardzo wtedy chciałam mieć prawo, by pójść tam po nabożeństwie i pocieszać go dodawając otuchy. Zamiast tego, odchodziłam jak wszyscy inni, ja, która należałam do niego i byłam mu bliższa niż ktokolwiek inny. To była ciężka szkoła dla młodego i kochającego serca!

Bardzo wyraźnie widzę przed sobą ten niedzielny wieczór, kiedy głosił kazanie na podstawie tekstu: „Jego Imię będzie trwać na wieki”. To był temat, którym Spurgeon żył, jego troską było to, aby wielbić swego wspaniałego Zbawiciela i wydawało się, że w tym kazaniu złożył swoją duszę, swoje całe życie przed jego wspaniałym Królem w hołdzie i w uwielbieniu. Bałam się, że on umrze w obecności tych wszystkich ludzi! Kiedy kazanie dobiegło końca, podjął ostatnią próbę odzyskania głosu, który zawiódł go prawie całkowicie i tylko w urywanych zdaniach można było usłyszeć przejmujące zakończenie jego przemówienia: „Nawet jeśli odejdę, to Imię Chrystusa pozostaje na wieki! JEZUS! JEZUS! JEZUS! Ukoronuj Go na Pana wszystkich rzeczy! Nic więcej ode mnie nie usłyszysz. To są moje ostatnie słowa w

Exeter Hall. JEZUS! JEZUS! JEZUS! Ukoronuj Go na Pana wszystkich rzeczy" Potem opadł prawie mdlejąc na krzesło, które stało za nim. W późniejszych dniach, kiedy Pan przygotował dla niego ten srebrzysty głos, przyjemny dla ludzkich uszu i porywający ich serca, rzadko kiedy można było widzieć tą bolesną scenę, którą próbowałam opisać. Zwykły mawiać w żartach, że jego gardło było wyłożone żwirem. Ja jednak myślę, że przyczyną tego było ciągle używanie jego głosu w wielu kazaniach i przemówieniach, które wygłaszał, tylko dzięki Panu, że całkowicie był wolny od choroby strun głosowych.

Podczas tego pierwszego okresu w Exeter Hall, kaplica przy New Park Street została powiększona, a po jej zakończeniu powrócił Spurgeon na swoją własną kazalnicę. Nabożeństwa w wielkiej sali ustały, a moje obawy, przynajmniej na krótki czas, skończyły się,

Jego praca rosła niemal z dnia na dzień, a jego sława stawała się być coraz większa. W tym czasie odbyło się wiele godnych zastanowienia spotkań na świeżym powietrzu. Listy, które posiadam, krótko zobrazują wygląd dwóch z tych wydarzeń.

2 czerwca 1855 roku pisze: „Wczoraj wieczorem około 500 osób przyszło na pole, a potem poszli również do kaplicy pod przyjaznym przewodnictwem pana Eldridge. Mój Pan dał mi władzę i szczerość. Wierzę, że dusze zostały uratowane. Co do mnie,

to głosiłem tak, jakbym był jednym z najgorszych grzeszników - do tych, którzy, tak jak ja niegdyś, byli najgorszymi grzesznikami. Było wiele łez i nie mało śmiechu".

Następnie, 23 dnia tego samego miesiąca, otrzymałam radosny list, który brzmiał: „Wczoraj wzniosłem się na wyżyny chwały życia kaznodziejskiego. Moje zgromadzenie było ogromne, myślę, że było ok. 10,000 ludzi (to było na polu w Hackney). W każdym razie musiało być ich dwa razy więcej niż w Exeter Hall. Pan był ze mną, zapadła pobożna cisza. A na sam koniec – chyba żaden człowiek nie widział bardziej entuzjastycznej burzy oklasków! To cud, że jeszcze żyję! Po nabożeństwie, pięciu czy sześciu panów próbowało zrobić przejście, ale ja byłem przez co najmniej kwadrans obnoszony we łzach i modlitwie - wydawało mi się, że trwało to tydzień! Gdy robili ze mną obchód wokół pola, próbowałam znaleźć wyjście. Nagle zobaczyłem piękny otwarty powóz, w którym siedziało dwoje ludzi. Wskoczyłem do środka i poprosiłem, żeby odjechali. Uczynili to uprzejmie, a ja wstałem, pomachałem kapeluszem i krzyknąłem: «Niech Bóg wam błogosławi!» Tysiące kapeluszy zostało podniesionych i popłynęło wiele łez. Oczywiście, nawet pośród tego aplauzu słyszałem już tępy huk zbliżającej się burzy odrzucenia, ale nawet to mogę znieść ze względu na Pana." To było prawdziwe proroctwo, bo nadszedł czas, kiedy nienawiść ludzi do prawdy, którą głosił, wzrosła do tego stopnia, że żadne szyderstwo nie mogło być zbyt gorzkie, a żadna pogarda zbyt okrutna, podczas gdy kaznodzieja odważnie głosił Ewangelię o Bożej łasce, której sam nauczył się pod krzyżem Chrystusa. Ale dzięki Bogu, doświadczył też, jak został doceniony za swoją szczerość i wierność, do końca życia nigdy nie odstąpił od wiary i świadectw, które świadczył z całego serca o cudownej Bożej łasce.

W lipcu tego roku Spurgeon udał się do Szkocji (1855), gdzie chciał spędzić swój urlop pragnąc przy tym wygłosić wiele kazań - to był bardzo zły plan, jak się później sam przekonał. Nadwyreżał bardzo swoje siły i naprawdę potrzebował absolutnego odpoczynku. Jeśli ta rozsądna zasada zostanie złamana, cierpi na tym zarówno głoszenie, jak i duch.

Rok 1855 zbliżał się ku końcowi, a my z niecierpliwością czekaliśmy na jego koniec, cieszyliśmy się niewysłowioną radością i czekaliśmy, kiedy będziemy mogli nazwać dom naszym własnym i połączyć się w święty związek małżeński "zawarty w niebie". Święto narodzenia Pańskiego spędził mój przyszły mąż

wraz z rodzicami w Colchester. Po pożegnaniu się ze mną osobiście, napisał następujący list:

"Moja Droga, kocham cię! Tęsknię za tobą chociaż minęło tylko pół godziny, odkąd cię zostawiłem. Pociesz się podczas mojej nieobecności tą myślą, że moje serce jest przy tobie. Niech mój łaskawy Bóg błogosławi ci we wszystkim - w sercu, w uczuciach, w życiu, w śmierci, w niebie! Niechaj spełni twoje plany, kontynuuje twój zapał i sprawi, aby twoja miłość do Niego była coraz większa, a twoja wiedza o Nim coraz głębsza, wyższa i szersza, może nawet więcej niż moje serce może pragnąć i moja nadzieja oczekiwać. Bądźmy dla siebie nawzajem błogosławieństwem - gdzie ja popełnię błąd, przebac mi, a tam, gdzie ty popełnisz, nie będę chciał go widzieć.

Twój - C. H. Spurgeon".

Teraz kiedy to piszę, leży na moim stole książka zatytułowana „The Pulpit Library“. Jest to pierwszy tom kazań mojego ukochanego męża. Na pierwszej czystej stronie znajduje się następujący napis:

„Za kilka dni nie będę w stanie nic zrobić, aby cokolwiek podarować pannie Thompson." Niech to będzie przypominało nasze radosne spotkania i wspaniałe rozmowy. 22 grudnia 55 C. H. Spurgeon".

Ślub wyznaczono na 8 stycznia 1856 roku. Budynek był przepełniony, wielkie tłumy ludzi stały na ulicach. Nie przypominam sobie nic więcej. W kaplicy, pełnej ludzi, widzę teraz jak za mgłą, ogromną ilość weselnych gości, którzy zasiedli w ławkach. Widzę starego Dr. Alexandra Fletchera, spoglądający łaskawie na Młodą Parę i diakonów próbujących uspokoić podekscytowanych i żądnych wrażeń widzów.

Potem nastąpiło nabożeństwo, które naprawdę połączyło nas dwoje i staliśmy się jedno. Z uroczystą radością w naszych sercach, stanęliśmy ramię w ramię i wypowiedzieliśmy kilka krótkich słów, które prawnie połączyły nas błogosławionymi więzami, na całe nasze życie. A złota obrączka, którą potem włożono na mój palec, nawet jeśli dziś jest cienka i zużyta, mówi o miłości aż do śmierci.

W londyńskiej gazecie z 9 stycznia 1856 r. ukazał się następujący tekst

z okazji naszego ślubu:

„Wczoraj rano zaobserwowano ciekawą scenę w okolicy kaplicy na New Park Street. Kaplica przy New Park Street jest dużym budynkiem należącym do Stowarzyszenia Baptystów. Znajduje się ona zaraz za targiem Borough. Pastorem w tym tego zboru jest C.H. Spurgeon, bardzo młody człowiek, który kilka miesięcy temu wywołał wielki entuzjazm w Exeter Hall, gdzie głosił kazania, podczas gdy jego kaplica była rozbudowywana. Wczoraj rano młody kaznodzieja wziął ślub. Chociaż ludzie, którzy

wykazali zainteresowanie tym wydarzeniem, nie są tak arystokratyczni jak ci, którzy zwykle bywają na weselach w West End, znacznie przewyższali ich liczebnością i entuzjazmem. Tuż po godzinie ósmej, choć poranek był ciemny, wilgotny i zimny, przybyło około pięciuset pań w jasnych i eleganckich strojach, wraz z wieloma panami, członkami kongregacji i osobistymi przyjaciółmi, weszli przez drzwi kaplicy. Od tego czasu tłum rósł tak szybko, że przejście zostało zablokowane przez pojazdy i oddział policji z wydziału – M musiał zostać wysłany, aby zapobiec wypadkom. Kiedy drzwi kaplicy zostały w końcu otwarte, nastąpił prawdziwy szturm, aż w ciągu niespełna pół godziny trzeba je było ponownie zamknąć, przed wieloma innymi ludźmi, którzy nie mieli zaproszenia. Panną młodą była panna Susannah Thompson, jedyna córka

pana Thompsona z Falcon Square w Londynie.

Ceremonii dokonał pastor dr. Alexander Fletehen z kościoła Finsbury. Po zakończeniu uroczystości, zaproszeni goście pogratulowali nowożeńcom i złożyli im serdeczne życzenia.